

Michael Herr

DEPESZE

**PRZEŁOŻYŁ I PRZYPISAMI OPATRZYŁ
KRZYSZTOF MAJER**

Wydawnictwo Karakter
Kraków 2016



Na ścianie mojej sajgońskiej klitki wisiała mapa Wietnamu i czasem, kiedy późną nocą wracałem do miasta, tak zmachany, że ledwo starczało mi sił, żeby zdjąć buty, gapilem się na nią, wyciągnięty na łóżku. Niesamowita była ta mapa, zwłaszcza teraz, kiedy nic już nie miała wspólnego z rzeczywistością. Po pierwsze, była bardzo stara. Ileś lat temu zostawił ją jeden z poprzednich lokatorów, pewnie Francuz, bo mapa przyjechała z Paryża. Od tych wilgotnych upałów papier pofałdował się w ramce i wyrysowane kraje wyglądały jak przykryte zastoną. Wietnam po starym dzielił się tu na Tonkin, Annam i Kochinchinę, a na zachodzie, za Laosem i Kambodżą, leżało sobie Królestwo Syjamu. Stara mapa, mówiłem tym, którzy mnie odwiedzali, bardzo stara.

Gdyby martwe ziemie nawiedzały nas tak, jak robią to zmarli, na mojej mapie można by było przystawić pieczętkę AKTUALNE, a te, których używano po roku '64, spalić. Ale spokojnie, nic podobnego nam nie groziło. Była końcówka '67 i nawet najdokładniejsze mapy pokazywały tyle co nic; równie dobrze można było czytać z twarzy Wietnamczyków, albo z wiatru – bez

różnicy. Wiedzieliśmy, że większość informacji da się wykorzystać na wiele sposobów, a każdy skrawek ziemi mógł różnym osobom opowiedzieć zupełnie różne historie. Wiedzieliśmy też, że od lat nie ma tam żadnych państw, tylko wojna.

Planiści ciągle nam opowiadali o oddziałach Vietcongu, jak to wciągamy je do walki i roznosimy w pył, ale nie miały miejsca, a one odradzały się jak gdyby nigdy nic. Nie baliśmy się tego jakoś szczególnie, ale kiedy szło o ich tereny, to zwykle nasi przejmowali je na dobre i nawet jeśli nie daliśmy rady ich utrzymać, to przynajmniej zostawialiśmy coś na pamiątkę. Pod koniec mojego pierwszego tygodnia w Wietnamie, w sztabie 25. Dywizji Piechoty w Cu Chi oficer informacyjny, którego dopiero co poznałem, pokazał mi najpierw na mapie, a potem ze śmigłowca, co zrobili z lasem Ho Bo – z nieistniejącym już lasem Ho Bo – gdzie ogromne buldożery zrównały z ziemią kilkadziesiąt hektarów plantacji uprawnych i dzikich lasów, potem poszły w ruch chemikalia, a na koniec powolny, cierpliwy ogień: „pozabawiono wroga cennych zasobów i schronienia”.

Już prawie od roku praca tego człowieka polegała częściowo na tym, żeby opowiadać o tamtej operacji każdemu, kto się nawinął: korespondentom, kongresmenom na objeździe, gwiazdom filmowym, prezesom korporacji, sztabowcom połowy światowych armii, i wciąż nie mógł się tym nacieszyć. Tryskał energią i entuzjazmem, można sobie było wyobrazić, że nawet żonie w listach ciągle o tym nawija, bo tu gołym okiem było widać, że jak się ma odpowiednią wiedzę i sprzęt, to można naprawdę wiele. Co z tego, że w ciągu paru miesięcy na większości terenów strefy wojennej C działania przeciwnika „znacznie” się nasiliły, a strat po stronie amerykańskiej było dwa, a potem i cztery razy więcej? Na pewno nie dotyczyło to lasu Ho Bo, spokojna głowa...

Kiedy wychodziliśmy nocą, sanitariusze dawali piguły, po deksedrynie z gęby cuchnęło jak ze słoika ze zdechłymi węzami. Ja tam obywałem się bez takich, wystarczyła odrobina „kontaktu ogniowego”, albo coś w tym stylu, i już miałem taką jazdę, że ledwo wyrabiałem. Jeden dźwięk spoza naszego małego, ścieśnionego kręgu i od razu mi odbijało, mogłem się tylko modlić, żeby jeszcze ktoś inny to usłyszał. Kilka wystrzałów gdzieś w mroku o kilometr od nas i już czułem słoniowy ciężar na piersi, cały oddech szedł w buciory. Raz w gąszczu mignęły mi jakieś światła i złapałem się na tym, że prawie szepczę, „nie jestem na to gotowy, nie jestem gotowy”. Wtedy uznałem, że dam sobie spokój i na noc znajdę jakieś inne zajęcie. A przecież to było nic w porównaniu z tym, co robili nocni zwiadowcy, patrole rozpoznawcze dalekiego zasięgu, czyli „lurpy”*.

Wychodzili noc w noc, całymi tygodniami, miesiącami, podkradali się pod obozowiska Vietcongu, krążyli wokół przemieszczających się kolumn WAL**. Już i tak byłem zbyt pochłonięty samym sobą, musiałem się z tym tylko pogodzić. W każdym razie piguły wolałem zostawić na później, na Sajgon i tę paskudną depresję, która zawsze mnie tam dopadała.

Znałem takiego lurpa z 4. Dywizji Piechoty, który łykał to świństwo garściami, w lewej kieszeni panterki miał zamulacze, a w prawej przyspieszacze, jedno, żeby przetrzeć szlak, a drugie, żeby zasuwać dalej. Twierdził, że łapie po nich

* Potoczna nazwa „lurps” pochodziła od skrótu LRRP, Long-range Reconnaissance Patrol (Patrol dalekiego rozpoznania).

** WAL – Wietnamska Armia Ludowa (oznaczenie angielskie: NVA, North Vietnamese Army).

równą fazę i potem w tych ciemnościach calutką dżunglę widać jak przez noktowizor.

– Wtedy dopiero masz zasięg – mówił.

To była jego trzecia tura. W 1965 jako jedyny ocalał z plutonu kawalerii powietrznej, dziesięciokrotnego podczas marszu przez dolinę Ia Drang. W '66 wrócił jako żołnierz sił specjalnych i jak któregoś ranka wpadli w zasadzkę, ukrył się pod ciałami towarzyszy, a ci z Vietcongu krążyli z nożami, tak dla pewności. Pościągali z naszych oporządzenie, zabrali berety i wreszcie poszli, słyszał jeszcze, jak rechoczą. Jeśli po czymś takim chcesz wrócić do Wietnamu, to już tylko jako lurp.

– Tam w Stanach to ja jakoś nie bardzo – powiedział. Za tym ostatnim razem nie ruszał się nawet z pokoju, tylko czasem wystawił sobie strzelbę przez okno i tak długo wodził za ludźmi i autami, aż całe czucie skupiło się w opuszku tego jednego palca. – Starzy tylko mieli stres – dodał, ale stres to i tutaj ludzie z nim mieli. Nawet tu.

– Nie no, jak dla mnie gość jest trochę za bardzo odjechałny – stwierdził któryś z jego zespołu. – Weź mu zajrzyj, kurwa, w oczy, od razu skumasz.

– Taa, tylko się streszczaj – dodał inny. – Znaczy się, wiesz, żeby cię nie przyuważył.

Tylko że on chyba cały czas czuwał, pewnie spał z otwartymi oczami, a ja już i tak miałem stracha. Raz tylko mi się udało: jakbym patrzył na dno oceanu. Facet nosił złoty kolczyk i opaskę wyszarpaną ze spadochronu wojskowego, a że nie było za bardzo chętnych, żeby mu coś powiedzieć o włosach, chodził z długimi, aż za ramiona, gdzie opadały na zgrubiałą, fioletową bliznę. Wszędzie nosił czterdziestkę piątkę i nóż, nawet w sztabie dywizji, a mnie uważał za cudaka, bo w ogóle nie miałem broni.

– Reportera nie widziałeś? – spytałem.

– Potrzebniście jak kurwie majtki – odparł. – Bez urazy.

Ale jaką on mi opowiedział historię wojenną, może najtrafniejszą i najgłębszą ze wszystkich, jakie tam słyszałem. Rok mi zajęło, żeby ją zrozumieć:

– Wysłaliśmy patrol rozpoznawczy w góry. Wrócił jeden koleś. Umarł, zanim nam powiedział, co się stało.

Czekałem na dalszy ciąg, ale to najwyraźniej nie była historia tego typu; kiedy spytałem, co właściwie się tam wydarzyło, spojrział na mnie z politowaniem; na chuj będzie marnować czas z takim idiotą.

Całą głębę już miał pomazaną na te nocne zwiady i wyglądał jak zły sen, zupełnie co innego niż te pomalowane buźki, które ledwie parę tygodni wcześniej widziałem w San Francisco, na drugim krańcu tego samego teatru. Za parę godzin, myślałem, facet przykucnie gdzieś w dżungli, niewidoczny i niemy jak kłoda, a tamtych niech Bóg ma w opiece, chyba że będzie ich co najmniej pół drużyny, bo zabójcą był przednim, jednym z najlepszych, jakich mieliśmy. Reszta zgromadziła się już przed namiotem, który stał trochę na uboczu, mieli tam lurpowską latrynę i ekskluzywne racje żywnościowe; trzygwiazdkowe wojskowe żarło, kotlety jak z Abercrombie & Fitch. Chłopaki z innych oddziałów musieli mijać ich namiot po drodze do kantyny, ale właściwie obchodzili go łukiem. Żeby nie wiem jak ich wojna zahartowała, przy lurpach dalej wyglądali na niewiniątka. Kiedy zespół był w komplecie, pomaszrowali gęsiego zboczem wzgórza, przez lądowisko aż do zasieków, za którymi wchłonęła ich dżungla.

Potem już z nim nie gadałem, ale jeszcze raz mi mignął. Rano, jak wrócili, prowadził jeńca, który miał na oczach przepaskę i ręce mocno związane z tyłu. Wiadomo było, że na przesłuchania nikogo do strefy lurpów nie wpuszczają, a ja

już i tak czekałem na śmigłowiec, który miał mnie stamtąd zabrać.

– Ej, jesteście z USO*? Myśleliśmy, że z USO, bo takie kudły!

Page pstryknął chłopakowi zdjęcie, ja notowałem, a Flynn parsknął śmiechem i powiedział, że jesteśmy z Rolling Stoneów. Tego lata przez jakiś miesiąc wszędzie jeździliśmy we trzech. Raz przylecieliśmy śmigłowcem z dowództwa brygady i z anteny powiewał prawdziwy lisi ogon. Mijał nas dowódca i mało co nie dostał zawału.

– Co to, żołnierze, oficerowi nie salutujecie?

– Jacy żołnierze – odpowiedział Page. – Korespondenci.

Jak tylko facet to usłyszał, od razu chciał zorganizować jakąś operację wojskową, rzucić do akcji całą brygadę i odstrzelić paru łebków. Trzeba było się szybko zbierać, dosłownie następnym śmigłowcem, żeby dał sobie spokój; niesamowite, co ludzie zrobią dla odrobiny sławy. Page oprócz aparatów lubił się poobwieszać jakimiś wariackimi chustami, paciorkami, no i jeszcze był angolem, więc chłopaki gapili się na niego, jakby przed chwilą trafił tu z Marsa. Z kolei Sean Flynn wyglądem potrafił czasem zakasować nawet swojego ojca, Errolla, w *Kapitanie Bloodzie* sprzed trzydziestu lat, chociaż czasem bardziej przypominał Artauda, który właśnie wynurzył się z jakichś ciężkich halunów – jądro ciemności, te sprawy, nadmiar informacji, dane! Dane! Cały spocony, siedział w jednym miejscu godzinami i piłką od scyzoryka cesał włosy. Mieliśmy trawę, mieliśmy szpulę: *Have You Seen Your Mother, Baby (Standing in the Shadow)*,

* USO (United Service Organizations) – organizacja non-profit, która zajmuje się podtrzymywaniem morale u żołnierzy amerykańskich za granicą, między innymi przygotowując występy artystów.

składankę Animalsów, *Strange Days*, *Purple Haze*, Archie Bell & the Drells, „Dawajcie, tańczymy Tighten-Up...”. Co jakiś czas rzucało nas w któryś z niższych kręgów piekła, ale jak na wojnę to był raczej luz, głównie łądowiska, obozy, żołnierze, ich twarze, ich historie.

– Najlepiej w ogóle się nie zatrzymywać – doradził nam któryś. – Nawet na chwilę, trzeba cały czas być w ruchu, czaicie?

Czailiśmy. Gość wyznawał teorię pod tytułem „ruchomy cel przeżyje”, był prawdziwym dzieckiem wojny, bo o ile nie wpadłeś w zasadzkę albo nie odcięli cię od reszty, co było dość rzadkie, to system był tak zaprojektowany, żebyś mógł się ciągle ruszać, jeśli uważałeś, że tego ci właśnie trzeba. Sposób na przeżycie pewnie tak samo dobry jak każdy inny, skoro już się tu znalazłeś i chciałeś się wszystkiemu przyrzec z bliska; z początku szło prosto i cacy, ale już za chwilę twój osobisty tunel zaczynał się zwęzać w stożek, bo im więcej się ruszasz, tym więcej widzisz, a im więcej widzisz, tym więcej ryzykujesz (nie chodzi już nawet o kalectwo i śmierć), a im więcej ryzykujesz, tym więcej będziesz musiał pewnego dnia z siebie zrzucić, już jako „ocalały”. Niektórzy z nas biegali po tej wojnie jak szaleńcy, aż sami przestali rozumieć, dokąd tak pędzą, zostawała sama otoczka i tylko czasem nagle udało się wedrzeć do wewnątrz. Dopóki mogliśmy do śmigłowca wskakiwać jak do taksówki, trzeba było totalnego wyczerpania, deprechy na granicy wstrząsu albo kilkunastu fajek opium, żeby chociaż wyglądać na spokojnych, bo gdzieś tam w środku dalej zasuwaliliśmy, jakby coś nas goniło, La Vida Loca, ha ha.

W pierwszych miesiącach po powrocie te setki śmigłowców, którymi latałem, zaczęły mi się składać w jeden wielki metaśmigłowiec, no i naprawdę nic seksowniejszego nie umiałem sobie wyobrazić; wybawiciel-niszczyciel, dobro-

czyńca-marnotrawca, ojcowiska prawica i lewica, zwinny, zgrabny, przebiegły i ludzki; rozgrzana stal, smar, przesiąknięty dżunglą brezent, zastygły pot, który po chwili znów parzy, w jednym uchu rock and roll z kasety, w drugim serie z umocowanego w drzwiach cekaemu, paliwo, żar, energia i śmierć, istna śmierć, ona była tu u siebie. Piloci opowiadali, że jeśli raz zabierzesz trupa na pokład, to już cię nie zostawi w spokoju, zawsze będzie z tobą latał. Strasznie byli przesądni, jak to żołnierze, i odstawiali nieustanny teatr, ale była w tym jakaś nieznośna prawda (wiedziałem o tym): kiedy jesteś tuż obok zmarłych, zaczynasz rozumieć siłę ich obecności, która odbija się długim echem; naprawdę długim. Tym co bardziej delikatnym wystarczyło jedno spojrzenie i już było po nich, ale nawet najgorszy prymityw umiał wyczuć, że dzieje się coś dziwnego, niezwykłego.

Śmigłowce, ludzie skaczący ze śmigłowców, goście tak wkęczeni, że lądowaliby się na pokład nawet bez potrzeby. Maszyny startujące pionowo z niewielkich, oczyszczonych połączeń dżungli, lądujące chwiejnie na jakimś miejskim dachu, w dół kartony z prowiantem i amunicją, w górę ciała i ranni. Czasami latało tego tyle, że w dzień mogłeś obskoczyć pięć, sześć lądowisk, rozejrzeć się, popytać, wrócić następnym. Niektóre bazy były wielkie jak miasta, trzydzieści tysięcy ludzi, a raz paczkę z zaopatrzeniem zrzucaliśmy jednemu jednemu facetowi. Bóg wie, co za tajniackie numery ten Lord Jim tam odstawiał, powiedział tylko, „Szefuńciu, nic nie widziałeś, co nie? Nawet cię tu nie było”. Zdarzały się i luksusowe, tłuste baziska z wentylacją, wygody dla klasy średniej, gdzie o przemocy się milczało, była „gdzie indziej”; obozy, którym dowódcy nadawali imiona żon, jakieś lądowisko Thelma czy inna Betty Lou; ponumerowane wzgórze owiane złą sławą, tam nie miałem ochoty zostawać; szlaki, ryżowiska, bagna,

skłębione zarośla, krzewy, mokradła, osady, nawet miasta, gdzie ziemia nie była w stanie wchłonąć tego, co się rozlało podczas akcji, ciągle musiałeś patrzeć pod nogi.

Czasem śmigłowiec mijał grzbiet wzgórze i zaraz za nim aż do następnego ciągnął się spalony, zryty krajobraz, z którego jeszcze buchał dym, i coś ci się wtedy kotłowało między mostkiem a żołądkiem. Cienki, szary dym znad spalonych ryżowisk wokół strefy wolnego ostrzału, biały, oślepiający dym od fosforu („Willy Peter nauczy cię modlitew”^{*}), gęsty, czarny słup dymu napalmowego, podobno jak staniesz przy samym kłębie, to nie da rady złapać tchu. Raz lecieliśmy nad ledwo co zbombardowaną wioską i naraz wskoczyły mi słowa piosenki Wingy’ego Manone’a, którą pamiętałem z dzieciństwa: „Kończcie tę wojnę, bo się pozabijają!”. Śmigłowiec zniżył lot, zawisł w powietrzu i zaczął osiadać w fioletowym dymie nad lądowiskiem. Ze wszystkich chatek dookoła wybiegły dzieci. Było ich parędziesiąt, całą chmarą rzuciły się do miejsca, które sobie upatrzyliśmy, a pilot się śmiał: „Wietnam, człowieku. Najpierw napalm, potem nakarm”.

Latanie nad dżunglą to niemal czysta przyjemność, ale łązenie po niej to nic tylko ból. W tym się nigdy nie odnajdowałem. Może dżungla to faktycznie było „Tam”, jak mówili na nią miejscowi; nie było z nią żartów, a tego, co mi odebrała, pewnie już nigdy nie odzyskam. („Daj spokój, dżungla jest OK. Jak się z nią znasz, to żyjesz jak król, a jak nie, to w godzinę cię załatwi. Albo i szybciej”). Raz gdzieś w tym gąszczu jeden korespondent powiedział do kilku żołnierzy: „Kurde, chłopaki, pewnie macie tu piękne zachody słońca”, no i tamci się prawie poszczali ze śmiechu. Fakt, że

* „Willy Peter / Make you a believer” – powiedzonko amerykańskich żołnierzy w Wietnamie. Fosfor nazywano swojsko „Willy Peter” od skrótu W.P. (*white phosphorus*).

DEPESE

czasem leciało się prosto w te gorące tropikalne zachody i człowiek już nigdy potem nie myślał o świetle w ten sam sposób. Innym razem zostawiałeś za sobą coś tak upiornego, że już po pięciu minutach wszystkie wspomnienia robiły się czarno-białe.